



Czesław Miłosz poetycko opisał Europę jako obszar, gdzie stoją kościoły gotyku i baroku. Na zdjęciu: **gotycka bazylika archikatedralna Świętych Apostołów Piotra i Pawła na Ostrowie Tumskim w Poznaniu**

Hiszpańska profesor mówi: „Europa Wschodnia”. Jej polski rozmówca: „Środkowo-Wschodnia”, by parę zdań później już skrócić do „Środkowa”. Dyskutują o tym samym regionie, odnosząc się do doświadczeń oporu i solidarności takich krajów, jak Polska, Czechosłowacja, Węgry. W kolejnych debatach znowu przeskakujemy z jednej Europy na drugą, mówiąc wciąż o tych samych krajach. Ludzie z naszego regionu mówią różnie, zachodni rozmówcy z uporem – „Wschodnia”. Sympozjum nosi tytuł „Pamięć Europy”, paradoksalnie dotyczy tożsamości europejskich narodów. Jesteśmy w Barcelonie – i może tu nikt nie zwraca na to szczególnej uwagi, ale o tożsamości „naszej” Europy chyba najczęściej mówią właśnie geograficzne pojęcia, w których się bardziej gubimy, niż odnajdujemy. I gubimy się coraz bardziej, gdy Zachód się dramatycznie zmienia, coraz mniej przystając do naszych wyobrażeń rodem z lat 80., a świat, wraz ze słabnięciem USA, dzieli się na nowo.

Dziwoląg wschodniego środka

Geografia nie zawodzi na żadnym innym kontynencie – tylko Europa wymyka się jej prawom. Zakreślona aż po Ural nie przystaje do cywilizacji, której zasięg Czesław Miłosz poetycko opisał jako obszar, gdzie stoją kościoły gotyku i baroku. Bo gdzie geograficzne granice hen w głębokiej Rosji, a gdzie polityczne granice I Rzeczypospolitej, z jakimi właściwie pokrywa się zasięg gotyckich katedr i barokowych kościołów. – Gdyby Europa kończyła się na tej politycznej, kulturowej, ale zarazem całkiem realnej granicy nowożytnej cywilizacji europejskiej, to nie mielibyśmy pewnie większego problemu z definiowaniem się jako „Europa

MICHAŁ PŁOCIŃSKI

Gdy cały świat się dzieli na nowo, może czas poszukać w nim też nowego miejsca dla Polski. Uda nam się w końcu całkowicie wyrwać ze Wschodu?

Przewalczyć traumy wiecznie zagrożonego narodu? Wypracować sensowny konsensus względem konkretnej, a nie tylko wyobrażonej geopolitycznej orientacji?

GDZIE JEST NASZA EUROPA

Wschodnia” – mówi „Plusowi Minusowi” dr Wojciech Stanisławski z Muzeum Historii Polski. – Ale w sytuacji, gdy geografia tak mocno kłóci się z kulturą, trudno nam się do Wschodu przypisać, bo czujemy się wtedy zdecydowanie za blisko Uralu, znacznie bliżej, niż byśmy chcieli. I stąd ten dziwoląg językowy, do którego jednak jestem przywiązany i którego będę bronić, czyli „Europa Środkowo-Wschodnia” – tłumaczy.

Dziwoląg ten wymyśliliśmy sami. Nie przyjął się w zbyt wielu krajach regionu, ale upowszechnił się w anglosaskiej politologii za sprawą piszącego po angielsku Oskara Haleckiego, jednego z jego propagatorów i zapewne najbardziej znanego na świecie, obok Piotra Wandycza czy Richarda Pipesa, polskiego historyka XX wieku. Zawsze czuliśmy, że pojęcie „Europa Środkowa”, wymyślone przez Niemców, jest zbyt szerokie – Estonię i Austrię dzieli w końcu przepaść. A do tego

„Mitteleuropę” skompromitowali sami Niemcy, zaprzęgać do hitlerowskiej propagandy. Ale właściwie już od XIX wieku ta koncepcja uzasadniać miała ich dominację nad całym regionem między Rzeszą a Rosją. Może z początku dominację w wersji „light”, bo to niemiecka kultura miała być kłamrą spinającą bardzo różne narody naszego regionu. Te narody jednak – co Niemców nawet dziś wciąż dziwi – nie przyjmują zbyt ochoczo tej przewodniej roli wyższej niemieckiej kultury. Polscy myśliciele podzielili więc Mitteleuropę na pół – w zachodniej części zostawili Niemcy, Austrię i niemieckojęzyczną część Szwajcarii, a do wschodniej zapisali całą resztę.

Czyli konkretnie kogo? Całą I Rzeczpospolitą, bo Jerzy Giedroyc już w latach 60. XX w. nie miał wątpliwości, że będące częścią ZSRR Litwa, Ukraina czy Białoruś to „nasza” Europa, a nie żaden prawdziwy Wschód.

Ale jako pierwsze zapisali jednak Czechosłowację i Węgry – bo mentalne granice Europy Środkowo-Wschodniej wyznaczyły antykomunistyczne bunty. Estonia weszła trochę na gapę z krajami bałtyckimi, ale już bez bliskiej kulturowo Finlandii, do której zresztą nie przynależy się także Skandynawia. A Bałkany weszły bez Grecji, państwa pewnie najbardziej bałkańskiego ze wszystkich, ale szybko wchłoniętego przez zachodnie struktury bezpieczeństwa i ekonomicznego dobrobytu.

– „Europa Środkowa” wróciła do naszego języka na przełomie lat 70. i 80., gdy mieliśmy rozkwit zainteresowania regionem i poszukiwano wspólnego mianownika. Powstał wtedy słynny esej Milana Kundery „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej”, gdzie czeski pisarz definiuje ją jako część cywilizacji łacińskiej, która została „porwana”, uprowadzona przez Rosję – mówi „Plusowi Minusowi” prof. Radosław Zenderowski z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, politolog i socjolog badający Europę Środkową.

A kiedy zatriumfowała „Europa Środkowo-Wschodnia”? – To pojęcie przez wielu nadal jest uznawane za sztuczne, obce, np. przez Czechów. Przebiło się szerzej dopiero na początku lat 90., kiedy amerykański Departament Stanu wydał swoim dyplomatom instrukcję, żeby w odniesieniu do Polski, Słowacji i Węgier nie posługiwali się już więcej terminem „Eastern Europe”, tylko stosowali „Central and Eastern Europe” lub po prostu „Central Europe” – tłumaczy politolog.

Małe narody Kundery

Czesi w żadnym sensie nie czują się Wschodem. Podobnie Słowacy, którym bliżej do świata niemieckiej czy włoskiej kultury niż na Bałkany. Czy my też już nie moglibyśmy się poczuć pełnoprawną Europą Środkową, po 35 latach od uwolnienia się z rosyjskiego uścisku i 20 latach w Unii Europejskiej? – Gdyby Polska składała się tylko z Wielkopolski czy Śląska, nie byłoby takiego problemu. Ale tak nie jest – odpowiada dr Stanisławski, specjalista od historii Europy Wschodniej w XX wieku. – Mamy „w kościach” doświadczenie Wschodu, który współtworzyliśmy, to część naszych korzeni, które nas tam „ściągają”.

Zdecydowanie więcej nas jednak łączy z Europą Środkową niż Wschodem. Tu geografia znowu nie wystarcza – środkowoeuropejskość to również fenomen kulturowy. Jej wspólny mianownik chyba najlepiej odnalazł Kundera i opisał we wspomnianym już esej „Zachód porwany...”. Jest nim historyczne doświadczenie utraty własnej państwowości. Kundera nazywa nas „małymi narodami” – nie w sensie liczebnym, chodzi raczej o ciągłe poczucie zagrożenia narodowej egzystencji. Nasze kultury budowaliśmy na fundamentach przeświadczenia (uzasadnionego), że równie dobrze mogłoby już nas nie być. I to nas czyni małymi narodami, ciągle lękającymi się większych. Takiego doświadczenia nie mają duże narody: Anglicy, Francuzi, Hiszpanie, Niemcy. Im – pisze Kundera – nie mieści się w głowie, że mogliby kiedykolwiek przestać istnieć.

Za tym idzie typowy środkowoeuropejski fenomen tzw. wiktylizmu – swoistej ideologii opartej na uporczywym obsadzaniu własnego narodu w roli ofiary wielkiej historii. Najbardziej patologicznym przykładem są tu Węgrzy, patriotycznie tatuujący sobie na ciele datę traktatu z Trianon: „Pogrzebu Wielkich Węgier” (1920). Uwielbiamy w „naszej” Europie przypominać klęski narodowe, przeżywamy ciągle na nowo te same porażki. Jednak ma to swój przewrotny sens, bo im mocniej wybrzmiewają nasze tragiczne losy, tym większym sukcesem wydaje się trwanie naszych narodów po dziś dzień. Pielęgnując więc porażki, gloryfikujemy własną siłę. Tylko nie próbujmy tego tłumaczyć nikomu spoza „naszej” Europy.

Ale chyba najbardziej środkowoeuropejską osobliwością jest symbioza etnosu i religii. Trudno nawet to nazwać religijnością, bo bardziej chodzi o kulturowy wymiar praktyk religijnych. I znowu – nie jest łatwo wyjaśnić Francuzowi czy nawet Niemcowi fenomen istnienia np. prawosławnych ateistów, który przez lata wyłaniał się ze spisów powszechnych w Jugosławii, państwach byłego ZSRR czy Grecji. W Niemczech ateista to po prostu ateista, nie wierzy w Boga. Tam najwyżej ktoś się określa jako wierzący, ale niepraktykujący. A w Europie Środkowej może być na odwrót: część ludzi tradycyjnie określała się jako praktykujący, ale niewierzący. – Bo to nie chodzi o Boga, tylko

o przypisanie się do instytucji, która jest de facto instytucją narodową – tłumaczy prof. Zenderowski. I w Polsce rozumiemy to wręcz intuicyjnie, w końcu gdy nie mieliśmy państwa, nasze życie narodowe ogniskowało się wokół Kościoła katolickiego, tak jak życie Serbów czy Greków wokół autokefalicznych narodowych Cerkwi.

Tym bardziej szkoda Grecji, wyrzuconej trochę pochopnie poza Bałkany, bo jeśli dodamy jeszcze ichniejsze powstania narodowe i traumę tureckiego zaboru – wypisz, wymaluj „nasza” Europa. Ale jeszcze ciekawszym przypadkiem jest bliskowschodni przeciwieństwo Izrael. Utrata państwowości? Tak długa, że chyba tylko Ormianie mogliby stanąć w szranki. Wiktylizm? Jasne, jak nikt inny Żydzi mają do niego prawo, ale rzeczywiście jest dopieszczony do granic możliwości. Narodowy „kościół”? Chyba nie trzeba nikogo przekonywać. – Ostatnio można jednak mówić o procesie tzw. deeuropelizacji Izraela, bo kulturę środkowoeuropejską wypiera coraz mocniej kultura rosyjska, ze wszystkimi jej obciążeniami – mówi prof. Radosław Zenderowski. – Pokolenie, które wyrosło w kulturze polskiej, węgierskiej, czeskiej czy rumuńskiej już odchodzi. Za to dzięki imigracji z Rosji i republik postsowieckich język rosyjski stał się już drugim językiem w kraju, a w niektórych regionach lub osiedlach nawet pierwszym – tłumaczy badacz środkowoeuropejskości.

Nowe miejsce dla Polski

Problem w tym, że wszystkie te pojęcia są historyczne. Europa Środkowa to już nie „Zachód porwany”, ale coraz bardziej po prostu Zachód. Religia odgrywa tu coraz mniejszą rolę, także kulturową. Po latach niepodległości wiktylizm (nieco) słabnie, kultury narodowe znajdują nowe punkty oparcia. Europa Środkowo-Wschodnia, wydaje się, miała swój czas na przełomie systemów, dawała oddech w przejściowym okresie naszej drogi z politycznego Wschodu na Zachód. Potem właściwie wszyscy poza nami się jej wyparli, a i my nie przywiązujemy się już do tego dziwołaga. Ale nawet Europa Wschodnia brzmi dziś archaicznie – bo właściwie po 24 lutego 2022 r. jaka to Europa? Nie tylko kibice piłkarscy przyjmą z ulgą przenosiny Rosji do strefy azjatyckiej. Gdy cały świat się dzieli na nowo, może czas poszukać w nim też nowego miejsca dla Polski?

– Faktycznie obraz Europy i Unii Europejskiej się drastycznie zmienia w ostatnich 15 latach, a nasza wyobraźnia trochę za tymi zmianami nie nadąży – mówi „Plusowi Minusowi” prof. Marek A. Cichocki z Collegium Civitas, filozof, politolog i germanista. Gdy „wracaliśmy do Europy” – jak o unijnej akcesji z dumą opowiadali polscy politycy, no, może poza Romanem Giertychem – sprawa wydawała się jasna. Dla akcesyjnej ścieżki – do NATO i UE – nie widzieliśmy alternatywy, a Zachód był ideałem, którego w naszej wschodnioeuropejskiej jaskini oglądaliśmy jedynie cień. Potem długo nie przeszkadzała nam nawet łątka „nowej Unii”, w domyśle tej gorszej, której mniej wolno. Ale do czasu. Teraz prof. Zenderowski radzi, żebyśmy dyskuszeli nad swoim miejscem na Zachodzie zaczęli od pytania: „Czym w ogóle jest Europa?”. – Bo nasz problem polega na tym, że mamy dziś w głowach zupełnie różne wizje jej tożsamości, wartości, całej tej sfery aksjologicznej, która ją budowała jako cywilizację. Dlatego trudno nam sobie znaleźć w niej miejsce – mówi politolog z UKSW.

Problem ten dostrzega też dr Wojciech Stanisławski: – Prawdziwy, a nie wyobrażony obraz dzisiejszej Europy rzeczywiście dla wielu Polaków może być źródłem pewnej konfuzji. Nie tylko dlatego, że Miłoszowa „Europa katedr” staje się Europą bez katedr. Dochodzi też doświadczenie zawodu politycznego: bo Unia okazuje się często nieudolna, niewydajna, np. w kwestiach dla nas szalenie istotnych i oczywistych, jak wspólna odpowiedź na agresję na Ukrainę – opowiada historyk z MHP.

Długo definiowaliśmy Europę w sposób bardziej poetycki niż konkretny, a dziś ta wizja po prostu nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością. „Fajerwerki nad Paryżem”, czyli – mówiąc wprost – cykliczne zamieszki i starcia uliczne, niebędące zresztą tylko specjalnością Paryża, są pewnie zbyt mocno przeżywane przez eurosceptyków, którzy triumfalnie wrzucają zdjęcia płonących samochodów, pisząc: „Macie swoją Europę”. Jednak nawet ludzie nadal obdarzają-

cy kredytem zaufania koncepcję integracji europejskiej coraz wyraźniej widzą, że Unia ma gigantyczne problemy z imigracją, demografią, redystrybucją dóbr – ale i bezstronnością wobec wszelkich postaw nieco bardziej zdystansowanych wobec centralizmu brukselskiego, które hurtem klasyfikuje jako „populistyczne”. – Na razie to nie skutkuje odwracaniem się od Europy, lecz raczej odkrywaniem swego rodzaju bezdomności – tłumaczy dr Stanisławski. – Bo to schronisko, do którego wspinaliśmy się przez lata, okazuje się być pokiereszowane. Ma naderwany dach. Trochę nie wiadomo, co czai się w piwnicy. I wygląda na to, że sami musimy to wszystko naprawić.

Szansa i przekleństwo

Tyle że już na to, jak ten dach załatać, pomysły mamy często sprzeczne. Ciągłe lubimy się pocieszać, że może wiele różnych spraw głęboko nas dzieli, ale akurat orientacja geopolityczna – europejska i atlantycka – nas zdecydowanie łączy. Jednak dziś naprawdę wystarczy ledwie lekko podłubać, by odkryć tu nie tylko różne niedopowiedzenia i brak poważniejszej refleksji nad zmieniającą się Europą, ale i znaczące różnice, jak choćby te dotyczące stosunku do Niemiec czy wizji własnego regionu.

Dobrze to widać na przykładzie Inicjatywy Trójomorza. W teorii chodzi tu o to, by zamiast na integrację wschód-zachód postawić mocniej na integrację północ-południe: nie skupiać się tak bardzo na budowaniu relacji z Niemcami, ale zacieśniać więzi z innymi państwami unijnymi w naszym regionie – od krajów bałtyckich na północy po Grecję na południu. Jako największe i najbogatsze państwo takiego układu, a mówiąc wprost: lider Trójomorza, moglibyśmy z czasem stać się dla Niemiec prawie równorzędnym partnerem. W praktyce jednak wszystko zależy tu od zaangażowania Czech i Rumunii, naszych kluczowych partnerów w tej środkowoeuropejskiej układance, a jeszcze bardziej – od Stanów Zjednoczonych, które musiałyby konsekwentnie na taki projekt stawiać. I o ile wydawało się, że Donald Trump był jego zwolennikiem, o tyle Joe Biden znowu przychylniej spojrzal na Niemcy.

– Największym problemem Trójomorza jest słabość naszych, środkowoeuropejskich elit politycznych i brak wiary w sukces. My zwyczajnie nie wierzymy, że ta ucieczka z półperiferijnych pozycji może się powieść – mówi prof. Zenderowski działający w Collegium Interethnicum, niezależnym think tanku badającym Inicjatywę Trójomorza. – Wszystko wskazuje na to, że Amerykanie chcieli postawić na Polskę jako na lidera Europy Środkowej, widząc w nas z początku pewnego sojusznika, tradycyjnie proatlantyckiego, przewidywalnego. Ale obserwując nasze elity polityczne, dostrzegli jednak u nich brak konsensusu w sprawach polityki zagranicznej. I ostatecznie zdecydowali się postawić na Niemcy, jakby znowu przekazując im rolę strażnika naszego regionu, który będzie lojalny wobec USA – twierdzi politolog.

Czy to znaczy, że będziemy musieli się odnaleźć w nowej niemieckiej Mitteleuropie i wyzybyć się aspiracji do budowy „naszej” Europy? Otóż po 24 lutego 2022 r. nie jest to wcale takie oczywiste. Zapisany niejako w naszych narodowych genach Wschód wcale nie musi być naszym obciążeniem, choć rzeczywiście od lat bardziej nas on uciska, niż go współtworzymy. Agresja Rosji na Ukrainę, która przedziwnie zaskoczyła Niemcy, wręcz podważyła ich jakąkolwiek zdolność do rozumienia Wschodu, pokazała tym samym, jak bardzo Europa potrzebuje – jak pisał Kundera – swojego „wschodu Zachodu”.

– W tym sensie wojna w Ukrainie pokazała, że Europa Środkowo-Wschodnia naprawdę istnieje. Region ten możemy różnie nazywać oraz rozmaicie definiować, nawiązując np. do geopolitycznej koncepcji pomostu między Morzem Czarnym a Bałtyckim. Ale przecież widzimy dziś, że ma on też wymiar polityczno-kulturowy, specyficzny charakter historyczny i ekonomiczny. I jest to dziś wyraźnie dostrzegane wszędzie, również w Ameryce. Jak i to, że region ten ma duży potencjał – tłumaczy prof. Marek A. Cichocki.

A dr Wojciech Stanisławski mówi, że młodzi Niemcy deklarują dość otwarcie, że jeśli rosyjska inwazja sięgnie jeszcze dalej na zachód, to oni nie zamierzają walczyć. Jakby co – wyjadą do Francji. My nie wyjedziemy, nam nie uda się uciec od tego Wschodu. Co jest i naszą szansą, i przekleństwem.